

Wojenne wspomnienia Leona Kopelmana.

Dalsze losy

Zapraszamy do poznania ostatniej części wspomnień Leona Kopelmana. Warszawiak z urodzenia, przeżył piekło warszawskiego getta. W pierwszych dniach sierpnia 1944 został wyzwolony z Gęsiówki przez żołnierzy batalionu „Zośka”. Jako ochotnik przeszedł z bronią w rękę szlak bojowy zgrupowania „Radosław” ze Starego Miasta na Czerniaków. Po wyzwoleniu w 1945 r. wraz z kolegą wyjechał do starożytnej kolebki swojego narodu – Palestyny.

Mniej więcej na początku czerwca 1945 r. ja z moim kolegą, Meir Bielickim, ruszyliśmy w drogę do Palestyny. Najpierw pojechaliśmy koleją w kierunku Czechosłowacji. Kiedyśmy dojechali do granicy czesko-polskiej, musieliśmy wysiąść z polskiego pociągu. Przepytywano nas, gdzie się wybieramy. Z pomocą oficera rosyjskiego, który powiedział, że jesteśmy z nim, udało nam się przesiąść do pociągu czeskiego. Tym pociągiem dojechaliśmy do Pragi.

W Pradze był obóz, gdzie zbierali się wszyscy uchodźcy, którzy chcieli jechać w rozmaitych kierunkach do swojej ojczyzny. Myśmy powiedzieli, że jedziemy do Niemiec. Ale w Pradze ci, którzy chcieli jechać do Niemiec, musieli przejść denazyfikację. Badali, czy to są rzeczywiście Niemcy, a jeśli tak, to szukali między nimi SS-manów, których zabierali. Nie chcieliśmy iść do tego obozu.

Postanowiliśmy więc pojechać koleją do Pilzna. W Pilźnie byli już Amerykanie, a w Pradze Rosjanie. Były wtedy 4 strefy podzielone między Rosjanami, Amerykanami, Anglikami i Francuzami. Pojechaliśmy koleją. Doradzono nam, że gdy przyjdzie amerykańska kontrola wojskowa, na pytanie, czy jesteśmy Czechami, trzeba odpowiedzieć „Ano” (tak). I tak się stało. Dojechaliśmy do Pilzna. Tam też był obóz.

Spotkaliśmy tam żołnierzy amerykańskich, z którymi się zgodaliśmy i którzy zabrali nas w kierunku Austrii. W Austrii dotarliśmy do Salzburga. W Salzburgu był obóz. Po krótkim w nim pobycie wynajęliśmy mieszkanie i zatrzymaliśmy się tam mniej więcej na miesiąc. Szukaliśmy sposobu, jak można przedostać się do Włoch, a stamtąd znaleźć ewentualnie drogę do Palestyny.

Spotkaliśmy tam jakiegoś niby przewodnika, który miał nas przeprowadzić z Austrii przez teren okupowany przez Francuzów. Poprowadził nas, a potem opuścił w górach i uciekł. Jakimś cudem udało nam się dostać do Innsbrucka, gdzie była już francuska strefa okupacyjna. W Innsbrucku nawiązaliśmy jakieś kontakty z wojskowymi. Dostaliśmy mundury amerykańskie, niby to jako przedstawiciele UNRRA. Były to mundury wojskowe, ale bez żadnych dystynkcji. W tych mundurach udało się nam przejść przez przełęcz Brenner i stamtąd dalej dojechaliśmy do Mediolanu.

W Mediolanie było schronisko dla Żydów, którzy uratowali się w czasie wojny. Mieściło się ono przy via Unione 5, gdzie przedtem był komisariat policji. Byliśmy tam tylko kilka dni. Potem wynajęliśmy pokój niedaleko Piazza di Duomo. Był to w zasadzie taki wyższy strych, trochę zrujnowany w czasie bombardowania miasta w czasie wojny. Został on potem wyremontowany i prezentował się zupełnie przyzwoicie. Pokazywała nam go właścicielka, jak się potem okazało, Niemka z pochodzenia.

W trakcie oględzin lokalu wydarzyła się śmieszna historia. Pokój nie był jeszcze całkowicie uprzątnięty po remoncie, leżało tam na podłodze trochę drewna. Dyskutując z kolegą po polsku powiedziałem: „Te deski trzeba będzie stąd zabrać”. Słuchająca nas pilnie właścicielka wykazała pewne zdenerwowanie. Potem okazało się, że z naszej rozmowy wyłowiła słowo „Tedeschi” (fonetycznie „Tedeski”), co po włosku znaczy „Niemcy”. Pomyślała, że mamy wobec niej jakieś złe zamiary z racji tego, że jest Niemką. Wy tłumaczyłem jej, na czym polega nieporozumienie i potem spokojnie już dobiliśmy targu.

Zatrzymaliśmy się tam na kilka tygodni. Cały czas szukaliśmy sposobu, jak dostać się do Palestyny. Dowiedzieliśmy się, że istnieje organizacja, która pomaga w tym zakresie Żydom. Z

organizacją tą współpracowali żołnierze żydowskiej brygady palestyńskiej wchodzącej w skład armii brytyjskiej. W Mediolanie działali też przedstawiciele UNRRA, amerykańskiej instytucji pomagającej uchodźcom, w tym również Żydom, którzy nie radzili sobie w nowej rzeczywistości.

Pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że jest organizowany kibuc. Była to forma organizacyjna podobna do sowieckiego kołchozu. Zadaniem kibucu było zgrupowanie Żydów planujących wyjazd do Palestyny. Ten kibuc rekrutował się z byłych partyzantów i byłych żołnierzy gett. My dwaj również się do niego zapisaliśmy jako żołnierze warszawskiego getta. Całą grupą wyjechaliśmy potem do miejscowości Aqua Santa (Święta Woda). W miejscowości tej były kąpieliska siarkowe, nad całą okolicą unosił się charakterystyczny zapach.

Zaczęliśmy tam przygotowania do wyjazdu. Między innymi mieliśmy też przysposobienie wojskowe prowadzone przez żołnierzy brygady palestyńskiej. Poinformowano nas, że zostaniemy przetransportowani statkiem. W ładowni statku, który był statkiem handlowym, będą zainstalowane hamaki. Umożliwi to zabranie stosunkowo dużej liczby ludzi w czasie jednego rejsu.

Pewnego dnia zawiadomiono nas, że następnego dnia rano wyruszymy do punktu koncentracji. Rzeczywiście zostaliśmy przewiezieni wojskowymi ciężarówkami do miejscowości Ascoli di Piceno. Nasza grupa liczyła kilkadziesiąt osób, ale zaczęto też tam zwozić Żydów z innych kibuców i nie tylko. Łącznie zebrało się tam ponad 1.000 osób.

Pewnego dnia organizatorzy wyprawy zabrali nam wszystkie dokumenty, jakie mieliśmy ze sobą: dowody osobiste, rozmaite legitymacje, zdjęcia itd. Nasza wyprawa była w zasadzie nielegalna. Powiedziano nam, że w razie wpadki lepiej będzie, jeżeli nie będzie żadnych dowodów na to, skąd i kiedy wyjechaliśmy.

Po pewnym czasie, pewnego poranka przyjechało do obozu 40 wojskowych ciężarówek. Na każdą z nich zapakowano około 25 osób. Wśród nas, poza mężczyznami były również dzieci i kobiety, niektóre ciężarne. Ciężarówki były szczelnie zakryte brezentem, mieliśmy zachować pełną ciszę.

Potem ciężarówki dotarły do punktu kontrolnego (check point), gdzie je zatrzymano. Po pewnym czasie ruszyły dalej. Jak się później dowiedziałem, na punkt kontrolny przyjechał jeep z wysokim oficerem, chyba majorem, żandarmerii wojskowej, tzw. Military Police. Nie wiem, jak załatwiono sprawę z majorem, czy dostał łapówkę. W każdym razie zwolniono nas i kolumna ruszyła dalej. Nie wiedzieliśmy, gdzie jedziemy.

Przed wieczorem dotarliśmy na miejsce. Jak się okazało, był to mały port rybacki, który nazywał się La Spezia. Kiedy zaczęliśmy wyładowywać się z ciężarówek, zauważyliśmy, że dookoła jest mnóstwo włoskich policjantów. Przy brzegu stał zakotwiczony niewielki statek o nazwie „Fede”, który miał nas przewieźć do Palestyny. Na wybrzeżu stał samochód pancerny z lufą armatki wycelowaną w statek. Policjanci powiedzieli nam, że jesteśmy aresztowani i nie wolno nam opuścić miejscowości. Ponieważ nie mieliśmy żadnej możliwości zakwaterowania na lądzie, pozwolono nam wejść na statek, aby przenocować.

Zdj. Leon Kopelman przy statku „Fede” (Leon Kopelman)



Jak wspominałem wcześniej, w ładowni statku urządzone były „sypialnie”. Na specjalnym „rusztowaniu” z rur było zawieszane na linach mnóstwo brezentowych hamaków, jeden nad drugim, oddalonych o 25-30 cm. Spędziliśmy noc jak sardynki w puszcze. Rano znów wyszliśmy do portu. Okazało się, że nie ma tu w zasadzie sanitariatów ani kranów z wodą.

Zacząła się kampania prasowa. Prasa włoska twierdziła, że zatrzymano grupę faszystów, którzy chcieli uciekać do Ameryki Południowej. Inne gazety pisały, że są to Żydzi, którzy zostali zwolnieni z niemieckich obozów koncentracyjnych i chcą jechać do Palestyny. W wyniku rozgłosu o sprawie dowiedzieli się Anglicy. Ich przedstawiciele przyjechali do La Spezia i oświadczyli, że absolutnie nie możemy wyjechać do Palestyny. Na wyjazd niezbędny był tzw. certyfikat wydawany przez Anglików. Należy pamiętać, że w tym czasie Palestyna była pod mandatem brytyjskim.

Pewnego dnia przyjechała do La Spezia duża jednostka marynarki brytyjskiej. Anglicy chcieli zająć nasz statek, a nas przewieźć z powrotem do Niemiec. W odpowiedzi cała nasza ludność zaczęła wokół Anglików tańczyć żydowski taniec, który nazywał się hora. Tańcząc w koło otoczyliśmy żołnierzy brytyjskich. Byliśmy w stanie desperacji. Anglicy nie wiedzieli, jak się zachować. W końcu wydano odpowiednie rozkazy i żołnierze wycofali się.

Czas płynął. Po kilku dniach przyjechał do nas jakiś cywil, był to chyba człowiek z policji angielskiej. Poszedł przekonywać kapitana naszego statku, abyśmy dobrowolnie zgodzili się wrócić do Niemiec. Oczywiście, w żadnym wypadku nie wchodziło to w rachubę. Niedawno wydostaliśmy się żywi z tego piekła, nie chcieliśmy tam wracać. Naszym celem była nasza ojczyzna Palestyna.

Szef naszej grupy, nie pamiętam już jak się nazywał, wybrał z niej dziesiątkę byłych żołnierzy. Znalazłem się też w tej grupie. Zapowiedział nam, że jeśli Anglik będzie schodził ze statku, a on pokaże wymowny gest na gardle, mamy mu je poderznąć i wyrzucić go za burtę do wody. W napięciu czekaliśmy na dalszy rozwój sytuacji. Anglik wyszedł, ale umówionego sygnału nie było. Policjant bezpiecznie wyszedł za bramę obozu.

Po kilku dniach rozpoczęliśmy strajk głodowy. Na bramie portu wywiesiliśmy duży transparent z białego płótna, na którym napisano w trzech językach: po angielsku, włosku i hebrajsku, że jest to strajk głodowy, w którym bierze udział 1014 osób i że będziemy głodować do śmierci. Na transparencie był zegar, na którym co godzinę przesuwaliśmy wskazówkę. Po kilkudziesięciu godzinach strajku ludzie byli już bardzo wyczerpani, niektórzy mdleli. Należy pamiętać, że wśród

nas były kobiety w ciąży. Strajk trwał ponad 72 godziny.

Akcja była przez prasę nagłośniona na cały świat. Wybuchł potężny skandal. W Jerozolimie do naszej akcji przyłączyła się Agencja Żydowska – załóżek przyszłego rządu państwa Izrael. Jej przedstawiciele usiedli na krzesłach przed budynkiem Agencji i w geście solidarności głodowali razem z nami. Zrobiło to dodatkowe wrażenie i z pewnością przyczyniło się do pomyślnego rozwiązania naszych problemów.

Do La Spezia przyjechał sekretarz Labour Party, ówczesnej partii rządzącej, Harold Lasky. On również próbował nas przekonać, byśmy wrócili do Niemiec, gdzie będziemy mieli zapewnione dobre warunki, a on w międzyczasie będzie się starał o certyfikaty wyjazdowe dla nas. Kategorycznie odmówiliśmy przyjęcia jego warunków. Pan Lasky wrócił do Anglii i poinformował rząd o zaistniałej sytuacji. Przez cały czas trwała intensywna kampania prasowa.

W końcu dostaliśmy wiadomość, że przyznano nam 1014 certyfikatów wyjazdowych do Palestyny. Przybyli do portu przedstawiciele Wielkiej Brytanii. Oświadczyli, że stojący przy nabrzeżu statek jest stanowczo za mały, aby przewieźć tyle osób i że jest niezbędny co najmniej drugi statek. Nasza organizacja zapewniła dodatkowy statek. Tymi dwoma statkami wyruszyliśmy wreszcie w podróż do Palestyny. Pierwszy statek nazywał się „Fede”, potem nazwano go „Dov Hoz”, a drugi nazywał się „Fenice”, nazwano go „Eliau Golomb”. W porcie La Spezia przebywaliśmy kilka tygodni.

Podróż trwała 10 dni. Na statku była żywność zgromadzona przez żołnierzy brygady palestyńskiej. Dzielili się oni z nami swoimi racjami żywnościowymi. Po drodze napotkaliśmy ogromne fale. Pamiętam, że koło Krety już prawie wszyscy mieli chorobę morską. Tylko kilku z nas, między innymi ja, trzymało fason. Dawaliśmy chorującym wodę do picia, była to jedyna pomoc, której mogliśmy udzielić.

W końcu, chyba 20 maja 1946 r. dotarliśmy do Palestyny. Zeszliśmy na ląd w porcie Hajfa. Czekał tam na mnie ojciec i siostra. Niestety, nie było z nami matki, zginęła w obozie w Treblince. Ojciec pozostał wdowcem, miał bardzo małe mieszkanie i warsztat w Jerozolimie. W tej sytuacji na

pewien czas zatrzymałem się u mojej siostry, która mieszkała w Tel Awiwie.

Pewnego dnia na głównej ulicy w Tel Awiwie, nazywającej się Alenbi, zobaczyłem dużą limuzynę amerykańskiej produkcji, z otwartym dachem. Za kierownicą siedział mój stary znajomy Grek-Francuz z Milanówka. Na limuzynie była polska chorągiewka i litery CD (korpus dyplomatyczny). Zwróciłem się do polskiej ambasady i spytałem, czy on w niej pracuje. Okazało się, że tak, pełni funkcję niby szofera. Spotkałem się z nim, byłem wtedy w wojsku. Nawiązaliśmy towarzyskie stosunki.

Okazało się, że planuje on wyemigrować do Kanady ze swoją narzeczoną, która potem została jego żoną. Przed wyjazdem zaproponował mi, że przekaże mi swoją aktualną posadę. Pracował w dużej firmie samochodowej, której właścicielem był brat jego ciotki. Firma nazywała się Karaso. W rezultacie pracowałem w tej firmie 12 lat, a potem otworzyłem własny interes. Moja firma zajmowała się importem części samochodowych.

Potem wyjechałem do Ameryki poszukując odpowiednich części samochodowych dla mojej firmy. Chciałem tam załatwić sobie różne przedstawicielstwa firm amerykańskich, co mi się naprawdę udało. Byłem również w podobnym celu w rozmaitych krajach w Europie. Wszystko to spowodowało, że firma moja rozwinęła się, interes szedł bardzo dobrze.

Teraz od kilku lat jestem na emeryturze. Mam troje dzieci – dwóch synów i córkę. Doczekałem się dziewięciorga wnucząt – 4 chłopców i 5 dziewczynek.

Nie czuję nienawiści do niemieckiego narodu za to, co uczynił mnie i moim rodakom. Nie czuję nienawiści, a raczej litość za to, co uczynił Niemcom szalony i okrutny wariat. Oni również zapłacili wysoką cenę za lata faszyzmu. Potem ciężką pracą odbudowali swój zniszczony wojną kraj. Chciałbym jedynie, aby nie zostały wymazane z pamięci ludzkości te straszne lata pogardy wobec człowieka.

Leon Kopelman

Zdj. u góry: ogłoszenie Deklaracji Niepodległości Izraela w 1948 r. (Wikipedia);
zdj. na stronie Aktualności: Leon Kopelman zmobilizowany do armii izraelskiej w 1948 r. (Leon Kopelman)

Opr. Anna Kilian

Leon Kopelman, ur. 26.04.1924 r. w Warszawie, ocalony z getta warszawskiego żołnierz-ochotnik batalionu „Zośka” zgrupowania AK „Radosław”





Data
publikacji: 2019-10-04

Data
wydruku: 2021-03-16 22:39

Źródło: <https://mgw.mobilems.pl/artykul/wojenne-wspomnienia-leona-kopelmana-dalsze-losy/>